

Marcin Podemski

Łacina — językiem międzynarodowym?

Kaesar i Kikero

Prawdziwa wymowa łaciny klasycznej

Czyście słyszeli państwo kiedy Francuza mówiącego po łacinie? Albo czytającego choćby kilka wierszy Horacego czy Vergilego? Jeśli tak, to dobrze pamiętacie, że... nie z takiej cytaty nie zrozumielście. Słyszeliście jakiś dziwny język, ni to łacinę, ni to francuski; wiersze, które znałicie na pamięć z czasów szkolnych, przybrały we francuskich ustach jakiegoś dziwnego brzmienia.

Łacinę każdy naród wymawia po swojemu, opierając się na kryteriach, niezawsze jasnych, zrozumiałych i uzasadnionych. Francuzi w zniekształceniu łaciny bezspornie wiodą prym. Weźmy na przykład jedną literę: *n*. Francuz w różnych złożeniach różnie ją wymawia; i tak:

tunc brzmi w jego ustach „tunk”,
unde — ade,
qua — kla,
qui — kii,
quoniam — koniam (tu całkiem zginię!),
puto — püto.

Na końcu wyrazu wymówi w pełnym brzmieniu (*agnem*), ale *em* w środku zamieni się w *e*. Cóż to będzie oczywiście „koza” itd. Ta wymowa francuska jest jakąś dziwną mieszanką współczesnej francuszczyzny i klasycznej łaciny.

W innych krajach nie dzieje się lepiej. Włosi uparcie twierdzą, że to właśnie ich łacina jest najlepsza i najprawdziwsza, bo oni są jedynymi potomkami Rzymian w prostej linii. Nie zastanawiają się nad tym, że język włoski — jak francuski, hiszpański i inne romańskie — jest łaciną z niekkształconą, zarówno pod względem dźwiękowym (fonetycznym), jak i gramatycznym. Więc kaza nam mówić „celum” (*caelum*), „Ciezczero” (*Cicero*), „vir-dzinem” (*virginem*) itp.

No, a my sami, Polacy? Czy nasza łacina jest prawdziwa, t. zn. czy wymawiamy ją tak, jak wymawiali ją Rzymianie w epoce klasycznej? Bynajmniej! „Polska” łacina jest równie nonsensowna, jak inne. Oparliśmy się — Bóg raczy wiedzieć dlaczego — na wymowie, jaką łacinie nadali Niemcy. Mówimy tedy Cicero i Cezar (*Cicero*, *Caesar*), gdy należałoby mówić „Kikero” i „Kaesar” (wymawiając obie samogłoski: *a*, *e*). „Ratio” brzmi w naszych ustach — bo tak nas nauczono w szkole — „racjo”, „quid” — „kwid” itd.

Rzymianie mówili „ratio” (*ra-ti-o*), „klid” (uciekam się do polskiego znaku „i”, by oznaczyć półsamogłoskową wartość „u” łacińskiego, które brzmiało jak „w” we współczesnej angielszczyźnie). Słysz, jak znicierniłowiony, a krytycznie nastawiony czytelnik przerywa mi:

— A s k a d pan wie, jak mówili Rzymianie? Przecież nie mamy płyt gramofonowych z owych czasów!

Płyt nie mamy, ale zato pod dostatkiem dowodów innego rodzaju, które nas całkowicie upewniają co do wymowy łaciny klasycznej. Jakież to dowody? Przede wszystkim starożytne napisy alfabetem greckim. Znajdujemy tu: *prinkipia* (*principia*), *kreskens* (*crecens*), *krukes* (*cruces*) itp. Dalej świadectwa gramatyków. Jeśli np. *Marius Victorinus* oświadcza, że w wyrazie „*accipio*” mamy do czynienia z podwójną spółgłoską, to nie ulega wątpliwości, że oba „*c*” brzmiały jak „k”, czyli „*akkipio*”, a nie „*akcipio*” (dla Francuza to jest „*aksipio*”).

Wreszcie ewolucja wyrazów łacińskich w językach nowoczesnych. Pomijam tu sprawy bardziej skomplikowane, jak np. dowód, że Rzymianie nie znali dźwięku „*r*”, że zawsze u nich było „*s*” (*rosa*, nie „*roza*”).

Ale wystarczy tylko zestawienie niemieckie „*Keller*” z łacińskim „*cellarium*”, lub „*Kaiser*” z „*Caesar*”, „*Kiste*” z „*cista*”, by upewnić się, że „*c*” było przez Rzymian zawsze wymawiane „k”.

Ostatnio nawraca się do chęci uczynienia łaciny językiem międzynarodowym. Oczywiście, nikt rozsądny nie marzy o jakimś „języku uniwersalnym”. Chodziłoby jedynie o ułatwienie porozumiewania się uczonym różnym krajów. Tak właśnie postawił sprawę prof. G. Galassi Paluzzi, prezes Istituto di Studi Romani w swym artykule, ogłoszonym w pierwszym numerze Biuletynu Instytutu. Tego samego zdania jest prof. J. Krzyżanowski („*Lygia*”, *czasopismo Tow. umiędzynarodowienia łaciny*, rok II, Nr. 1, marzec 1939). Aby ten cel osiągnąć, trzeba najpierw ustalić wymowę łaciny: mówić tak, jak mówili starożytni Rzymianie. Domaga się tego w „*Lygia*” Leon Zawadowski.

Jest jeszcze jedna przeszkoda: słownictwo. Łacinie trzeba do-

robić cały szereg wyrazów, oznaczających sprzęty i pojęcia całkiem nowoczesne. Czynniono w tym kierunku niejako próby. Cytuje je „*Lygia*”. Więc „*maska gazowa*” to „*larva gasaria*”, „*karabin maszynowy*” to „*manuballista machinalis*”, „*gentleman*” to „*homo ad unguem factus*” (!!), „*wyłącz radio*” — „*prohibe aethera*”...

Homo ad unguem factus... No, brzmi to bardzo niepospolicie. Ma w każdym razie jedną zaletę: działa rozbawiająco...

Ostatecznie, zwrócenie się do łaciny po tylu nieudanych próbach języków sztucznych jest objawem korzystnym. Pozwoliłoby sobie tylko zauważyć, że łacina, dostosowana do użytku nowoczesnego, obdarzona tymi wszystkimi „dokładnymi ludźmi” (*hominibus ad unguem factis*), którzy „wstrzymują eter” (*prohibent aethera*), byłaby równie... językiem sztucznym. Oczywiście sto razy lepszym od wszelkich es-

perantów, volapüków i innych bzdur.

Najlepiej jednak zostać przy językach narodowych. Jeśli chodzi o humanistę — im więcej zna języków, tym lepiej. Nie można bowiem naprawdę poznać obcego narodu, nie znając jego języka. Jeśli chodzi o matematyków, chemików i t. d., którzy czują wstręt do nauki języków obcych (albo brak im ku temu zdolności — ale łaciny też by przecież musieli się nauczyć!), najlepiej wyjść im na pomoc. Wtedy projekt, zalecany m. in. przez prof. A. Dauzat’a: ważne dzieła każdej gałęzi nauki przekładaćby się na jeden język; i tak: angielski mógłby być językiem ekonomistów, niemiecki — chemików, francuski — matematyków, włoski — muzyków...

Piękne łasony w naszym posładamy magazynie

PLASZCZY STEFAN FIBICH

Honorujemy Bony Spółki Tow. Kupców Polskich.

Al. Jerozolimska 7

Sen śmierci

Strasna choroba afrykańskich dżungli

(w. d.) Jedną z chorób najbardziej wyniszczających czarną ludność Afryki jest choroba roznoszona przez muchę *Tse-Tse*, a objawiająca się w końcowym stadium niemal bezustannym snem, który trwa aż do zupełnego wyniszczenia organizmu.

Drukujemy fragment barwnego reportażu francuskiej dziennikarki opisującej walkę z tą chorobą i przesady Murzynów, którzy ją utrudniają.

Burza w dżungli. Kongo ma w sobie coś przerażającego. Niemal w jednej chwili, z jasnego dnia stała się ciemna noc. Gęste mgły ogarnęły nas, a niebieska artyleria rozpoczęła ogień ze swych najcięższych dział. Huk piorunów ogłuszał nas, a błyskawice rozdzielały niebo ognistymi zygakami. Byliśmy w samym centrum tornada.

Dalsza jazda była niemożliwa, należało burzę przeczekać, toteż z okrzykiem radości powitaliśmy samotną chatę tubylczą, stojącą obok drogi.

NIESPODZIEWANE SPOTKANIE

Gdy oślepieni ociekającą wodą zgromadziliśmy się wszyscy w szczerupym wnętrzu chaty, uczyniliśmy przerażające odkrycie. Na ziemi pokrytej mchem i gnijącymi liśćmi, siedziała pół-leżąca, młoda Murzynka wychudzona do ostatnich granic. W pierwszej chwili sprawiała wrażenie umarłej. Słaby jednak oddech i zaledwie wyczuwalny puls świadczyły, że kołatało się w niej jeszcze trochę życia.

Widok konającej wywołał wielkie poruszenie wśród czarnych. Z oznakami najwyższego strachu tłoczyli się u drzwi chaty, do której przed chwilą chronili się tak chętnie.

Zatrzymałam jednego z nich, mówiącego po francusku.

— N'que, gdzie idziesz?

Zasłaniając twarz, wskazywał na umierającą Murzynkę.

— N'que nie zostań tutaj. Ona mieć złego ducha i ciągle spać. Ją swój zostawił, aby ona umrzeć.

To była więc ta strasna choroba, dziesiątkująca czarną ludność Afryki!

— Ją zostawić tutaj. Ją trzeba żyć dłużej, inaczej i my ciągle spać. — nastawał N'que.

Spojrzałam na Boursin'a. Myślałam o tym samym. W podróży naszej apteczce mieliśmy zastrzyki oliwy z kamfory, które mogły przynieść chorej pewną ulgę...

Pod wpływem zastrzyku powieki Murzynki uniosły się na chwilę. Spojrzenie jej jednak było nieprzytomne. Zaraz też pograżyła się w tym śnie tak podobnym do śmierci.

Mimo protestów czarnych przenieśliśmy chorą na ciężarówkę. Niepodobnieństwem było zostawienie tam nawet chwilowo, gdyż czekała ją niechybna śmierć od zębów i pazurów dzikich zwierząt.

USPIONA WIOSKA

Najbliższym etapem naszej podróży miała być zasobna wioska murzyńska Bubangi, znana ze swych wspaniałych palm i hodowli wielkich ślad kóz. Murzyni nasi odzyskali humor na myśl o smakołykach, jakie ich tam czekały i radość swą wyrażali w pieśni skomponowanej na przedce:

W Bubangi są smaczne banany
W Bubangi są pieczone koźlaty
W Bubangi jest wino palmowe...

W niedługim czasie dojrzeliliśmy pierwsze chaty wioski. Warkot na szego motoru niewywołując jednak na drogę żadnego z jej mieszkańców. Zwykle każdemu naszemu przejazdowi przez wioskę towarzyszyły całe gromadki czarnych dzieciaków — hebanowych posążków o białych zębach. Tym razem nie, cisza zupełna.

Wysiedliśmy, kierując się w stronę chat. Rozsypane pośród palm, oświetlone słońcem, stały ciche, jakoby opuszczone. Nigdzie ognia, nigdzie żadnej kibiety, tłuczącej maniaki przed chatą...

Nagle zrozumieliśmy straszną przyczynę tej ciszy. Przed chatami, wśród traw skuleni, czy też nadmiernie wyprężeni, jak na torach wszyscy mieszkańcy wioski: mężczyźni, kobiety, dzieci spali swym okropnym snem.

Sama nie zdając sobie sprawy z tego co robię uchwyciłam za ramię jednego ze śpiących, potrząsając nim jakby to mogło zbudzić go z tego snu — cierpienia.

Podniósł rękę, a z ust jego wydobył się jakiś głuchy dźwięk i ręka ciężko opadła.

Pierwsza otrząsnęłam się z wrażenia; należało działać.

— Trzeba im jakoś pomóc — zwróciłam się do Boursin'a.

Może jeszcze nie jest zbyt późno, może choćby część da się uratować. Istnieje przecież surowica Fourneau stosowana w dobrym wyniku w tej chorobie.

Parigat Brigret mimo widocznego zdenerwowania opanował się również.

— Niech pani mówi co należy czynić. Jestem gotów.

— Myślę, że musimy podzielić się. Panowie dwaj pojedą do Ban-qui, gdzie jest szpital. Trzeba sprządnąć doktora, pielęgniarki... Ja z Boursin zostanę. Spróbujemy podtrzymać ich siły zastrzykami oliwy z kamfory.

Za chwilę zostaliśmy sami w uspijonej wiosce.

TRAGICZNE TAM — TAM

Zastrzyki i jakie takie uporządkowanie chat, do których przenieśliśmy śpiących zajęły nam czas do wieczora i zmęczyły do tego stopnia, że zaraz po skromnym posiłku zmrzył nas sen.

Nie wiem ile czasu spałam, gdy nagle zbudziły mnie dziwne dźwięki.

Wśród ciszy nocnej płynęła ku nam muzyka pełna dysonansów, połączona z przeraźliwym wrzaskiem. Znając kraj, wiedzieliśmy, że był to początek jakiejś nocnej uroczystości. Czy nie miała ona związku ze smutnym odkryciem, jakie uczyniliśmy dnia poprzedniego? Wśród czarnych panuje przekonanie, że chorzy na śpiączkę są w mocy złego ducha. Pragnąc odpuścić go, urządzają przedwczesne ceremonie. Wobec fanatyzmu Murzynów, obecność białych przy tych obchodach połączona być może z pewnym niebezpieczeństwem. Odruchowo sprawdziliśmy rewolwery.

Głos tam — tamu huczał teraz potężnie, a wrzaski towarzyszące mu rozdierały nasze uszy. Pochód był już widoczny i wolno zbliżał się ku nam.

Na czele, daleko przed innymi szedł krokiem tanecznym głośny czarodziej plemienia. Dziwaczne jego ozdoby a jeszcze więcej twarz pomalowana gęsto w białe pasy, budziła odrazę. Cały orszak składał się z półnagich, pomalowanych różnymi kolorami, tańczących i gestykułujących Murzynów.

NIEBEZPIECZNA SYTUACJA

Ujrawszy nas, pochód zatrzymał się, drepnął w miejscu. Jedy nie czarodziej podszedł bliżej.

W przemowie, którą wygłosił do nas powtarzało się często imię kobiecie N'temme, tak, że w końcu zrozumieliśmy, iż żąda on wydania kobiety, którą znaleźliśmy w opuszczonej chatce.

Widząc groźną postawę całego orszaku, wyciągnęliśmy broń, pytając jednocześnie, czy który z nich nie mówi po francusku. Znalazł się taki i potwierdził nasze domysły.

Czarodziej nie mogąc uleczyć N'temme orzekł, iż jest ona w mocy złego ducha i kazali ją zostawić zwierzętom na pożarcie; miało to odwrócić śmierć od całej wioski.

— Zły duch tak chce! — dodał tłumacz tonem wyjaśnienia.

— Wszyscy co spać, zjeść pantery. Rozpoczęły się targi. Chcieliśmy zyskać na czasie. Czarodziej nastawał i groził. Wystarczyło jedno jego skinienie, aby sfanatyzowany tłum rzucił się na nas. Jak dotąd

jednak nasze rewolwery trzymały ich w należytej odległości. W końcu Boursin wpadł na dobry pomysł i oznajmił czarnym, że nie możemy wydać im N'temme, gdyż czekamy na małego czarodzieja, który ma przywieść silne gris-gris przeciwko ziemu dochowi.

To uczyniło duże wrażenie. Na tych przesądnych dużych dzieciach. Zgodzili się czekać z nami na gris-gris białych ludzi. Bój się jednak złego ducha, odstraszała go na swój sposób. Ponure dźwięki tam — tam i przeraźliwe wrzaski rozbrzmiewały do świtu.

PRZYBYCIE POMOCY.

Wraz z pierwszymi promieniami słońca przyjechali. Warkot motoru, który usłyszałam mimo tam — tam i krzyków czarnych wydał mi się najmielszą muzyką.

Przyjechał doktor G., trzy siostry i dwóch pielęgniarzy i walka ze śmiercią rozpoczęła się. Przywieziono wielkie ilości serum, różne butelki i buteleczki, zwoje waty oraz białe fartuchy. Największa chata wioski została przekształcona na salę szpitalną.

Doktor G. był niezmordowany w ratowaniu tych nieszczęśliwych.

— Widzi pani — zwrócił się do mnie, gdy już zabieg został dokonany. Jesteśmy tu po to, aby ich ratować, leczyc czy zapobiegać chorobie. Ale Murzyn, gdy jeszcze może chodzić, nie przyjdzie do lekarza. Woli swoich czarowników.

Potrącił też przekonać nawet wielkiego czarodzieja. Bez przeszkód więc można było odwieść chorych do szpitala. Wysłuchał poważnie jego wywodów a następnie nie mniej serio odpowiedział:

— Rozumiem was. Ale wiesz, że bogowie wymagają oni ofiary z czegoś żywego. A ta kobieta jest już prawie trupem. Weź żywą kurę i zabij, to bardziej będzie podobna się bogom.

* *

Cztery miesiące później przejechałam w drodze powrotnej przez Bubangi. Wioska ożyła. Te nieszczęśliwe, półżywe szkielety, ludzkie stały się żywymi ludźmi cieszącymi się życiem.

Pragnęłam odszukać N'temme, było to jednak niemożliwe. Jakże ją poznać wśród tylu czarnych smukłych, jak palmy, dziewcząt? Miałam natomiast sposobność porozmawiać z głównym czarodziejem wioski. Gdy była mowa o doktorze G., twarz jego przybrała poważny wyraz.

— Białe czarodziej — wielki rodziej — rzekł z przekonaniem. — On kazać zabić kura i to pomóc. On mądry!

Nowa metoda wykrywania skarbów ziemi

Dwaj uczeni szwedzcy, dr. Sven Palqvist i Nils Brundin, opracowali nową metodę wykrywania minefaktów. Dawniej obecność metali w ziemi stwierdzano za pomocą pomiarów fizycznych — elektrycznych, magnetycznych i sejsmograficznych. Jednak badania te zawodzą niekiedy przy poszukiwaniu np. złota, cyny, platyny etc.

Nowa metoda opiera się na badaniach chemicznych, a raczej geo-chemicznych. Punktem wyjścia było twierdzenie, że nawet niewielka ilość minerału daje się

nie biorąc, nie prowadziłoby do celu; natomiast drzewa ze swymi nader rozgałęzionymi korzeniami, pochłaniają te roztwory i magazynują niejako metale w swych liściach. Drzewa np. rosnące w pobliżu żyły złota, wykazują znaczny wzrost zawartości tego metalu w miąższu liści.

Badanie rozpoczyna się od wyznaczenia na badanym terenie określonych wytycznych, wzdłuż których zbiera się w ustalonych odległościach „preparaty”, przeważnie liście i igły. Materiały te umieszcza się w numerowanych workach, zarazem zaś odnotowuje się na mapie miejsca, na których dokonano zbiorów.

Liście ulegają spalaniu, popiół zaś wprowadza się do elektrod węglowych lampy łukowej, której światło przechodząc przez spektrograf, oddzwiera na negatywie długość fal metalu zawartych w preparacie. Im silniejsze linie, tym większą jest zawartość minerału.

Obecnie w Szwecji prowadzone są poszukiwania niklu, ołowiu i innych metali. Nowa metoda ma tę wielką zaletę, że nie wymaga żadnych przyborów dla prac przy gotowawczych i daje się stosować w najgłębszych niedostępnych lasach. Nie wymaga ona innych metod, nie ulega jednak wątpliwości, że powinna odegrać wielką rolę w nauce i przemyśle.

RAKIETY TENISOWE



G. GRABOWSKI W-WA Szpitalna 7
Fachowa naprawa rakiet.

wykryć w roztworach wodnych wydobytych z ziemi. Zadanie sprowadzałoby się zatem do uzyskania tych roztworów i do opracowania dostatecznie subtelnych sposobów analizy.

Badanie ziemi i wody praktycz-

PRAWDA, ŻE SYMPATYCZNY?



Tak wygląda 2-miesięczny niedźwiadek polarny ze sztokholmskiego Zoo. Nawet ktoś uprzedzony do rodzaju niedźwiedzi, musi przyznać, że miś ten ma strasznie miły wygląd. Nie przeto dziwnego, że jest ulubieńcem dzieci z całego miasta.